



... strach
to moje drugie imię

WOKÓŁ STRACHU Słowińska

Anna Dalia

ANNA DALIA SŁOWIŃSKA

WOKÓŁ STRACHU

CZĘŚĆ III

© Copyright by Anna Dalia Słowińska & e-bookowo

Redakcja i korekta: e-bookowo
Skład i łamanie: Ilona Dobijańska

Zdjęcie na okładce: Katarzyna Otler
Projekt okładki: Filip Kowalski

ISBN e-book: 978-83-8166-250-5
ISBN druk: 978-83-8166-251-2

Wydawca: Wydawnictwo Internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I, 2021 rok

[Kup książkę](#)

Osoby i wydarzenia zawarte w książce są fikcyjne.
Jakiegolwiek podobieństwo jest przypadkowe.

Moim wnukom: Urszuli i Mateuszowi

PROLOG

Szarpałam się sama ze sobą, myśląc o swoim biologicznym ojcu, o Wojtowiczu, o psychopatycznym mordercy, człowieku, który tak naprawdę nie był moim tatą, o tym dziwnym przerażającym czasie, kiedy wydawało mi się, że utknęłam w sennym koszmarze.

– Chciałem cię tylko zobaczyć, a przyszło mi bronić... – Wojtowicz z trudem wydobywał z siebie słowa, mówił niemal szepcąc, charcząc i plując krwią, która osiadała na brodzie. – To ja zabiłem tego mężczyznę na Stawkach. To ja... – Błogi uśmiech wykrzywił mu usta. – Obronilem cię, córko... – Próbował złapać powietrze w płuca, krtusił się czerwoną cieczą. – Przeeee... bacz mi. – Jego zamglone oczy wyrażały błaganie. Jeszcze poruszał ustami, ale już nie wydawał żadnych dźwięków.

*

Długo nie potrafiłam przebaczyć – w końcu zamordował mamę, moich bliskich i znajomych. Natrętne myśli, które kłębiły się w mojej głowie, przybierały coraz realniejsze kształty. Były jak wirusy, które mutują i atakują coraz mocniej i mocniej wszystkie komórki ciała, łącznie z mózgiem. Nie było na nie szczepionki.

Jakże bardzo starałam się wsłuchać w siebie, wziąć jakiś skuteczny lek, objąć myślą pokłady swej duszy, wybaczyć bestii rzeczy niewybaczalne. I tylko ja wiedziałam, jakie to trudne, wręcz niemożliwe.

Czułam się taka niekompletna, jakby ktoś zabrał mi część ciała i wyssał całą duszę. On to uczynił.

W końcu jednak uwolniłam się od koszmaru pt. „Ojciec – psychopata”.

Pochowałam go w Pile, z daleka od mamy. Nie zasługiwał na to, by przy niej spocząć. Od czasu do czasu odmówiłam zdrowaśkę za jego duszę. Potrzebował tego jak każdy grzesznik, a ja jako katoliczka – wybaczyłam mu.

*

Od dłuższego czasu miałam zupełnie inne zmartwienia i życzenia. Znacznie gorsze. Nic mnie już prawie nie interesowało, prócz zdrowia męża. Zbyszek od kilku miesięcy leżał w śpiączce w szpitalu MSWiA w Poznaniu i rokowania były nie najlepsze. Miałam wrażenie, jakby coś mnie pokrywało, coś, co musiałam z siebie strząsnąć. To było odrętwienie przez duże O.

Powietrze wokół mnie przesycone było stresem. Zastosowane leczenie, na które tak bardzo liczyłam, jak na razie nie przynosiło żadnych efektów. Lekarze przekonywali, że to musi potrwać, a z drugiej strony uprzedzali, że taki długi stan śpiączki może negatywnie wpłynąć na zdrowie męża – z każdym mijającym dniem malały szanse na normalność. Byłam bliska szaleństwa.

Co prawda usiłowałam odnaleźć w sobie tę rzeczowość, chłodny spokój, z którym podchodziłam zawsze do trudnych sytuacji, ale wyglądało na to, że sprawdzone mechanizmy teraz nie działały. Czułam wręcz uderzenia strachu, choć Bóg jeden wie, jak bardzo starałam się wypracować w sobie bycie głosem rozsądku.

Z całą pewnością istnieje ograniczona liczba rzeczy czy uczuć, które człowiek potrafi unieść. Słabo sobie radzę z bólem będącym jak kamień na plecach.

1. MAŁGORZATA

Późne listopadowe popołudnie

Siedzę przy łóżku męża. Opowiadam o naszym synku, o Świętanie, jak mu tańczy, a Zbyniu klaszcze w ręce i śmieje się głośno. Mój mąż ani drgnie. Choćby tylko powieka... Nic. Choćby poruszył palcami. Jednym palcem. Nic. Żadnego ruchu, zero reakcji.

Rozpacz ściska mi serce. Panika nieustannie trzyma mnie w kleszczach. To już trwa za długo.

– Obudź się, Zbyszku – błagam go codziennie, czując, jak łzy spływają mi po policzkach i nawet nie usiłuję ich wycierać. – Nie tak miało być... – mówię, prawie nie ruszając ustami. – Otwórz oczy, spójrz na mnie. Jesteś mi potrzebny i naszemu synkowi. Proszę cię, otwórz oczy – błagam go, siedząc przez dłuższą chwilę nieruchomo, wpatrzona w twarz męża jak w obraz święty.

W gardle czuję twardą bolesną gulę i narasta we mnie płacz. Zaraz pójdę porozmawiać z lekarzem – postanawiam. Czekam jeszcze tylko, aż ustąpi we mnie wewnętrzny skurcz, który ściska mi gardło. Aż wyschną łzy.

Może trzeba Zbyszka gdzieś przenieść? Czas odgrywa przecież ogromną rolę. Może są jakieś nowsze metody wybudzania ze śpiączki, niż te tutaj, w Poznaniu? Może w Gdańsku, w Częstochowie? Może trzeba gdzieś za granicę? Tyle się naczytałam na ten temat. Wiem, że wybudzenie ze śpiączki to nie jest jedna chwila, to długi proces, ale...

– Zbysku... Zrobię wszystko... – obiecuję mu szeptem, gładząc jego twarz.

I znowu staje się cud, jak dwa lata temu. Mój mąż otwiera oczy. Na moment. Po dwóch, trzech sekundach zamyka je znowu.

Tak, jestem pewna, że je otworzył! Momentalnie zasycha mi w gardle.

– Kochanie, kochanie... to ja...

Zbyszek ponownie z wysiłkiem otwiera oczy, jakby mnie słyszał. Mruga powiekami.

– Mał-Małgosia?

Przymyka je znowu. Nieruchomieje, ale ja słyszałam. Słyszałam! Zwrócił się do mnie po imieniu. Rozpoznał mnie.

Pochyliłam się nad nim. Przyłgnęłam do jego ręki wolnej od kroplówki. Jest ciepła, leciutko drga. Zbyszek lada moment się wybudzi!

Zerwałam się z krzesła i przywołałam lekarza.

– Panie doktorze... On, on... Mój mąż...

Przez chwilę miałam wrażenie, że ktoś zasznurował mi gardło. Bełkoczę i zdaję sobie z tego sprawę. Emocje są bardzo silne.

– Panie doktorze...

Lekarz odwrócił głowę w stronę okna. Odchrząknął, a następnie spojrzał na mnie rozkojarzonym, nieobecny wzrokiem.

Wiem, że jest zmęczony. Widzę go na dyżurze już drugi dzień z rzędu, ale to nie moja wina, że brakuje lekarzy i mało zarabiają.

– Panie doktorze! Widziałam, widziałam. Nic mi się nie zdawało – niemal wykrzykuję, jakbym odgadła jego myśli: „Pani traci rozum... a ja jestem umęczony jak stary koń”.

Wiem, wiem, do cholery! Ale zrób coś! Pieprzone czasy... – myślę ze złością i z niecierpliwością. No dalej!

Wyczuł moje myśli chyba po wzroku, jakim go obdarzyłam. Przystanął przy łóżku męża i z nieruchomą twarzą słuchał, co mam mu do powiedzenia, potem niechętnie dotknął ręki i czoła Zbyszka, spoglądając na aparaturę, a następnie w moje oczy pełne nadziei i wiary, po raz pierwszy nawiązując ze mną kontakt wzrokowy.

Zdziwienie i niewiara zmarszczyły mu czoło.

– Nic mi się nie zdawało, panie doktorze. Mój mąż otworzył oczy, wyszeptał moje imię. Poznał mnie... – wyprzedziłam jego słowa.

Lekarz pocierając powieki, przez chwilę spoglądał na mnie jak na kogoś bliskiego szaleństwa.

Na jego twarzy zagościł krótki uśmiech. Dotknął niechętnie jeszcze raz dłoni Zbyszka.

Leciutko drżała, co widać było gołym okiem. Chwilę ją potrzymał, robiąc okrągłe oczy.

– Rzeczywiście jest dużo lepiej, parametry zupełnie nieźle – powiedział, spoglądając na stymulator. Uśmiechnął się znowu. – A jednak... – potwierdził, pokiwał głową i spojrzał mi w oczy. – Sądzę, że to kwestia godzin, może kilku dni. Wszystko będzie dobrze – pocieszył mnie. – Męża czeka dość długa rehabilitacja neurologiczna, to będzie konieczne, ale dziś mamy różne techniki, tak więc... – Urwał.

– Wiem, wiem, panie doktorze. Trochę poczytałam na ten temat. Stanę na rzęsach, wszystko zrobię! – Uśmiech wykrzywił mi usta. Odetchnęłam głęboko.

Spłynęło na mnie niewysłowione szczęście niczym lekki wiosenny deszczyk na zieloną trawkę. Ożywczy. Za kilka godzin, może jutro, może za kilka dni... i będzie już tylko dobrze.

Rehabilitacja to zupełnie inny stan. Stan, który pozwoli mi się na co dzień uśmiechać – pomyślałam i nagle zdałam sobie sprawę z czyjejś obecności. Oprócz mnie, szczęśliwej, zdziwionego nadal doktora i wracającego do funkcji życiowych mojego męża, jeszcze ktoś tu był...

Odwróciłam głowę i spojrzałam w stronę drzwi prowadzących na korytarz szpitalny i niemal natychmiast znieruchomiałam, widząc w nich sprawcę mojego nieszczęścia. W uchylonych drzwiach stał Witkowski.

Roman Witkowski? Chyba.

– Nie będę przeszkadzał – wymruczał, skinął głową i wycofał się szybko.

Chwilę za nim patrzyłam, czując, jak narasta we mnie niepokój, może nawet złość. Zaciśnęłam automatycznie pięści. Poprawiłam zamaszystym ruchem dłoni włosy. Rozglądnęłam się po niewielkiej sali, usiłując skoncentrować uwagę na czymś, co pozwoliłoby mi się opanować.

Witkowski jest na wolności. Bywał w szpitalu w Pile, teraz pojawił się w placówce w Poznaniu.

Po co?! – zadałam sobie pytanie i poczułam gwałtowny przypływ niepokoju, który przerodził się nagle w strach, w jakieś złe przeczucia.

Po jaką cholerę on tu przyszedł? Przejechał sto kilometrów? Po co?! Wszedł na salę o tak późnej porze?

Wyprostowałam się, jakbym połknęła kij. Przez głowę przeleciało stado spłoszonych myśli.

– Czy pan doktor widział kogoś w drzwiach, ktoś tam stał przed chwilą? Mówił? – spytałam, spoglądając w zmęczone oczy doktora Lebiody.

Pokręcił przecząco głową.

– Nie, zdawało się pani – odpowiedział suchym tonem. – O tej porze już nie ma odwiedzin. Może był to pielęgniarz. A w ogóle jest już późno, pani mecenas, proszę opuścić szpital i być dobrej myśli. Może już jutro... – Dał mi nadzieję. – Rzeczywiście widzę zmianę na lepsze i przyznaję, że się tego nie spodziewałem tak szybko. Cieszę się – dodał.

Może już jutro... – te słowa spłynęły na mnie niczym balsam. Lekarz w zamyśleniu pokiwał głową i spojrzał wymownie na zegarek.

– Tak, tak... Już idę. – Również zerknęłam na zegarek. Dochodziła dwudziesta dwadzieścia. W domu czekał mój synek i moja przyjaciółka Swietłana. – Rzeczywiście na mnie czas – powiedziałam, ociągając się co nieco. – Czy nie mogłabym...

Doktor Lebioda przecząco i stanowczo pokręcił głową. Potem ziewnął.

Westchnęłam. Trudno.

– Do jutra, kochanie...

Pocałowałam męża i wyszłam ze szpitala. Zarejestrowałam, że ochroniarz zamknął za mną drzwi.

Zbiegłam po kilku schodkach z towarzyszącą mi radością, kierując się w stronę parkingu, jednak już po chwili uczucie to przerodziło się w niezrozumiały niepokój.

Odruchowo wciągnęłam gwałtownie powietrze do płuc. Pojawiły się obrazy.

I znów przez chwilę siedziałam w gruzach tamtego dnia, gdy Witkowski postrzelił Zbyszka. Niechący, przypadkowo... Na moment przymknęłam oczy.

Po co on się tu pojawił?!

Nie, nic mi się nie zdawało. To się działo naprawdę. Widziałam Witkowskiego. Widziałam na własne oczy. Tak właściwie to nie powinnam jeszcze opuszczać szpitala, a przynajmniej należało zameldować lekarzowi swoje obawy, uprzeć się przy tym, co widziałam, uczulić na lepszą ochronę. Zbyt szybko mnie spławił, a ja na to pozwoliłam. Powinnam wrócić... – Przystanęłam i zaważałam się, potem spojrzałam na zegarek. – No tak, jest późno. Nie wpuszczą mnie już. – Westchnęłam. Prawda też była taka, że zbyt mało czasu poświęcałam swojemu dziecku, a wykorzystywałam przyjaźń opiekunki, która przecież też miała swoje życie.

Jutro z rana przyjadę. Jutro... Witkowski, o ile to był on, już wyszedł. Drzwi do szpitala zostały zamknięte. Koniecznie muszę poinformować komisarza Gawrońskiego o wizycie Witkowskiego w szpitalu późną wieczorową porą, kiedy to już nie ma odwiedzin. Czy to na pewno był Witkowski?

I już widziałam zdegrustowaną minę komisarza i jak rozkłada ręce.

– To musi być jakaś pomyłka. Jest pani wyczulona – mówił ostatnio.

– Wyczulona? To co, niby mam przywidzenia? A ten mój strach? Nie wiem, jak to nazwać... Jaka jest przyczyna tego, że ten człowiek mnie śledzi? Nic z tym nie można zrobić? A poza tym boję się o męża.

– Co też pani mówi... I dlaczego? Jakie podstawy, by tak myśleć? – Spojrzał na mnie spod okularów.

Wiedziałam, że nic z tym nie można zrobić ani z tym, co myśli o mnie komisarz.

– Człowiek tonący w rozpacz, a pani jest w takim stanie, czepia się często najbardziej skrajnie irracjonalnych przesłanek. Wygląda na to, że zagrożenie istnieje wyłącznie w pani głowie.

– Komisarz spojrzał na mnie, jakbym rzeczywiście była maniaczką. Był wprost niegrzeczny.

Może jestem maniaczką – pomyślałam, wzruszając ramionami. Byłam mocno zirytowana, co nie uszło jego uwadze. Wykrzywił usta.

– Nie, nie w tym rzecz. Ten człowiek mnie po prostu nęka. Takie mam nieodparte wrażenie i nie jest to tylko w mojej głowie, ale i w oczach – wyszczałam pod nosem. Niepotrzebnie.

Nienawidziłam tego uczucia braku kontroli nad sobą, ale tak się właśnie działo.

Wypuściłam powietrze z płuc. To jakaś paranoja.

Czy ty słyszysz samą siebie?

Opanuj się...

Najważniejsze, by zatarła się nieco ostrość myśli, jakie mnie dopadły, pomyślałam, nieco trzeźwiejąc.

Komisarz, jakby czytając w moich myślach, pośpieszył z wyjaśnieniami:

– A nie pomyślała pani, że Witkowski może mieć wyrzuty sumienia? Przecież zapewne cierpi. Może również chciał zobaczyć pani męża? To chyba normalne. Każdy przyzwoity człowiek w jego sytuacji tak by zrobił. Uważam, że jest przyzwoity, a postrzelił pani męża przypadkiem. To się zdarza. Wypadek przy pracy... – Urwał i przygryzł wargi. – Rozumiem, jak bolesna jest dla pani zaistniała sytuacja i chciałbym mieć większą jasność, lecz na razie... Potrzeba więcej czasu...

Zapadło niezręczne milczenie. Panująca w pomieszczeniu cisza otuliła mnie jak szorstki koc.

– Tak, tak, Witkowski to być może przyzwoity człowiek i też cierpi. Tego nie mogę wiedzieć – powtórzyłam za nim – a bolesne

uczucie zawsze było i będzie. To się nie zmieni. Niemniej proszę coś zrobić, żeby sprawca mojego nieszczęścia więcej mnie nie nękał. Nie życzę sobie, jakkolwiek by to wyglądało i jakkolwiek jest tego przyczyna.

Komisarz pokręcił głową, obracając fotel w drugą stronę, a ja się w tym czasie opamiętałam.

*

Stłumiłam kielkujące uczucie paniki. Przełknęłam ślinę. Raz, dwa, trzy... dziesięć. Pooddychałam głęboko, miarowo. Pomogło. Niepokojące myśli zepchnęłam na inny tor. Zobaczyłam nawet pociąg – pendolino. Jechał z zawrotną prędkością 300 km/h ku stacji zwanej Szczęściem.

Lada dzień Zbyszek wyjdzie z tego wegetatywnego stanu. Może już jutro...

Może jeszcze dziś, a mnie przy nim nie będzie... Jaka szkoda...

Na zewnątrz owiał mnie chłodny jesienny wiatr. Zimne powietrze przesycił zapach nadchodzącej zimy, przemarzniętych traw i optymizmu.

Wsiadłam w golfa pełna radości i po dobrej godzinie znalazłam się w domu, w Pile.

Drzwi otworzyła mi Swietłana ze Zbyniem w ramionach. Spał oparty na jej barku.

– Przed chwilą usnął – stwierdziła.

Uśmiechnęła się radośnie, gdy powiedziałam jej o mężu. Była jedną z tych osób, które rozświetlają każde pomieszczenie po wejściu. No i rozświeciła je. Duszę już miałam rozświeconą.

– Naprawdę na chwilę Zbyszek otworzył oczy. Poznał mnie. Wymówił moje imię. To kwestia godzin, Swietłana!

– I co? A nie mówiłam? Odbierz, telefon do ciebie, Małgo-siu. Może dobre wieści... – powiedziała i znowu się uśmiechnęła. – Położę Zbynia do łóżeczka i porozmawiamy. – W jej głosie dzwięczała radość.

Wyciągnęłam gwałtownym ruchem komórkę z torebki. Może już są te dobre wiadomości? Zbyszek się wybudził... Dzięki ci, o Panie...

– Czy to pani Małgorzata Wiśniewska-Figurant? – głos zabrzmiał niestety grobowo. To nie mogły być dobre informacje.

– Tak... Przy telefonie.

Poprzez szum w komórce usłyszałam pulsowanie swego tętna.

– Wiem, że to nie jest dobra pora, ale chciałem porozmawiać. Starszy inspektor Waran – przedstawił się policjant i odkaszlnął.

Po chwili zaskoczenia odpowiedziałam pytaniem:

– A... w jakiej sprawie? – Spojrzałam na zegarek.

Inspektor milczał przez kilka sekund.

– To ważne. Rozmowa nie na telefon. Mogę przyjechać? – usłyszałam zdenerwowany głos.

Opadłam na krzesło, z trudem łapiąc kolejny oddech.

– Tak, proszę. W bloku jest domofon – poinformowałam jak roztrzepana nastolatka.

Nurtowały mnie tysiące pytań. Moja radość i euforia powoli zamieniały się w trwogę.

Minęło piętnaście minut i usłyszałam domofon, a potem dzwonek do mieszkania.

W drzwiach pojawili się starszy inspektor Waran i psycholog Kwiatkowska. Znałam ich oboje. Ich obecność nie wróżyła nic dobrego, wręcz przeciwnie.